Przyjaciel Ludu.

ROK DZIEWIĄTY. **No. 3.** Leszno, *dnia* 16. *Lipca* 1842.



X. Przybylski.

Do Redakcyi Przyjaciela ludu.

Mości Redaktorze!

Szczęśliwém zdarzeniem dostał mi się w ręce kamienioryt portretu ś. p. X. Ignacego Przybylskiego, byłego professora w dawniejszych szkołach rydzyńskich, rektora i professora w gymnazyum poznańskiém, płockiém i kaliskiém.

Acz już krótki rys życia i zasług publicznych tego męża obejmuje Nr. 43. Gazety polskiéj w. ks. poznańskiego na rok bieżący, pomnąc wszakże, jak Przyjaciel ludu jest jedynéém dzisiaj pismem czasowém, co nie jednę drogą sercu poczciwemu ojczystą pamiątkę, jako nieuchronną już zdobycz zapomnienia, a może i wiecznéj zagłady, ocalić zdołało; mniemam ztąd, że i wizerunkowi przesłanemu tego weterana professorów, w témże piśmie nie uskąpisz Pan miejsca.

Widok, choć raz jeszcze na martwym papierze rysów oblicza tego wysłużonego ojczyznie nauczyciela, i dla tych, co bliżéj zaznali ś. p. X. Przybylskiego, bez wątpienia stanie się niemałą roskoszą, i dla tych będzie czułém lat ubiegłych młodości przypomnieniem, których ten nauczyciel umysły i serca młodociane, jako czuła o swe pisklęta macierz, bez zwichnięcia, że

tak powiem, wypiastować i do tylu zawodów w każdym stanie przygotować umiał szczęśliwie! — „Jest też to zaiste szlachetne zatrudnie„nie,“ mówi Jan Śniadecki, „zająć się rzemiosłem „kierującém wspól-ludzi do własnego ich dobra, „doskonalić dane im od przyrodzenia władze „i siły duszy, odkrywać ich uwadze potrzebne „do życia prawdy, ubezpieczać ich od sideł u„przedzenia i błędu, i wskazać im drogę postę„powania zgodną z porządkiem społeczności ludz„kiéj i z ich osobistym pożytkiem!“

W myśl tę, całym ciągiem zapewne swego publicznego nauczycielskiego zawodu, postępował Przybylski, toć już samo, Mości Redaktorze! uwzględni zapewne moje niniejsze prośby.

X. K.

Co to jest bieda?

(Dokończenie.)

Słońce zaczęło się schylać ku zachodowi, kosarze skończywszy pracę, powracali z gratami na ramieniu do domu, pokrzykując radośnie; ale w sercu królewicza było pusto i głucho. Nieborak już poznał biedę! Chłodny wietrzyk, wieczorna rosa, zaczęły dojmować jego goliźnie i popędzały go mimowolnie do mieszkań ludzkich, gdzie jakikolwiek spodziewał się znaleźć przytułek. Póki było jeszcze widać, zostawał w życie, a kiedy już noc rozpostarła swe cienie, wychylił się w jarzyny, które że były niskie, wlókł się w nich chyłątką, aby go kto nie postrzegł, a czasem i na czterech, nie przymierzając, jak niedzwiedź, a coraz to stawał, chwytał uchem dolatujące go odgłosy, oglądał się na wszystkie strony, a coraz daléj a daléj ku wsi. Tak przyszedł w nocy do ostatniego domu jakiéjś porządnéj wioszczyny, przeskoczył lekko przez płot, gdyby najlepszy woltyżer, i schował się w konopie w ogrodzie. Ale i w téj cuchnącéj gęstwinie nie długo gościł, bo go coś gnało do mieszkań ludzkich. Wchodzi z wolna na podwórze, gdzie na szczęście nie było domowego stróża, boby mu był z pewnością podziurawił jego przyrodzone szarawary. Przeleciało mu najprzód przez głowę przywłaszczyć sobie jego budę i uczynić ją swą tymczasową letnią rezydencyą; ale gdy sobie rozważył, że za jego powrotem musiałby z nim krwawe staczać boje, przystąpił do domu, szukając wniścia. Drzwi i okiennice były szczelnie pozamykane, lecz nasz przemyślny królewicz umiał się już brać na sposoby i nie dziw, znał już biedę, a bieda rozumu uczy. Wlazł po drabinie na kalonkę, a po niéj przyczołgawszy się na czworakach do komina, nie wiele myślęcy, spuścił się tym otworem do chałupy, wszedł po cichu do izby i zrejterował się na przypiecek.

Nie długo też zaczęło świtać, kur zapiał po trzykroć, w domu się pobudzili, gospodarz wstał, wziął sobie kawałek chleba z serem, zaprzągł do woza i pojechał do boru aż o dwie mile po węgle; był to bowiem kowal téj wsi, zwykle na końcu połaci mieszkający. Skoro ucichł turkot woza, wstała spiesznie i kowalka, nałożyła suty ogień, zabiła kapłona, nagotowała klósek i usmażyła je w tyglu z skwierczkami, zarobiła ciasto na kołacz i piekąc go na rozpaloném ognisku, wyglądała co chwila oknem, czy kto nie idzie? Jakoż niebawem wchodzi z cicha do izby wąsaty mężczyzna w granatowéj kapocie, z batogiem za pasem, jako godłem swego urzędowania; byłto podstarości téj wioski, zalotnik naszéj gładkiéj i dość młodéj jeszcze gosposi. Zaczął wnet do niéj smolić cholewki, milić się jak kot do śmietanki, a ona wrzkomo krzątała się około przyszykowania śniadania. Nie długo zastawiła na stole kapłona na misie, klóski w tyglu, położyła placek i wydobyła flaszkę dobréj gorzałki, którą była w niedzielę z miasta przyniosła; zamknęła potém drzwi, i zasiedli sobie oboje za stołem, a królewicz patrzał na wszystko z zapiecka, aż ślinkę połykał. Tymczasem kowalowi pękł gdzieś na moście sierdzień u woza, musiał więc nieborak wrócić do domu po inszy, prędzéj jak należało. Turkot zajeżdżającego na podwórze wozu spłoszył naszych biesiadników od stołu; kowalka zaczęła spiesznie wszystko chować: placek pod poduszkę, klóski na piec, kapłona do komory między mlostki z mlekiem, a buteleczkę do szafy. Teraz dopiero ozwała się mężowi, który już zniecierpliwiony i markotny porządnie łopotał do drzwi; przelęknionego gościa wsunęła na przypiecek i nabrawszy już odwagi łajała niecierpliwości mężowskiéj.

Lecz któż opisze trwogę wystraszonego podstarościego, gdy ujrzał na przypiecku żyjącego świadka jego zalotów, skamieniał on prawie ze strachu i słowa wymówić nie mógł. Królewicz widząc jego pomieszanie i poczuwając się do lepszego prawa na swych śmieciach, wpadł z góry na niego: „a ty hultaju! zaraz zewleczesz mi się aż do koszuli, inaczéj zakrzyknę na kowala, to ci porządnie skórę wygrzmoci.“ Nieszczęśliwy podstarości był prawdziwie między młotem a kowadłem; i rad nie rad uczynił zadosyć żądaniu, i zezwolił, iż go coraz zuchwalszy królewicz obrał ze wszystkiego do koszuli, aby tylko nie robił hałasu.

Tymczasem kowalka poswarzywszy się chwilę z mężem w sieni, dybała tylko na to, jakby go się znowu jak najprędzéj pozbyć; ale tą razą inaczéj się stało. Królewicz ubrawszy się w szaty podstarościego, gdy gospodarz szukaniem sierdzienia był zajęty, wyszedł z nienacka z zapiecka, stanął u drzwi, jakoby właśnie co wszedł do izby, pochwalił Pana Boga i udawał wędrownego kowalczyka.

No jakże wam tu rzemiosło idzie na wsi? zapytał.— Oj źle, Mospanie, roboty ani krty, a choć kto i da co zrobić, to ledwo żelazo zapła-

ci, a drugiemu trzeba czekać i czekać. Oj biedać to Mospanie, żeby jéj siekierą nie uciął, jak nas obsiadła, popuścić nie chce. W mieście to co innego, tam każde rzemiosło lepiéj popłaca. „Juzci prawdę macie, ale bądźcie jeno dobréj myśli, trzeba sobie poradzić. Oto wiecie co, ja umiem biedę wypędzać. Czy chcecie jéj się pozbyć z domu na zawsze?" Kowal zaczął się po kudłach skrobać i rzekł: a jużciby to było nie źle, ale...— „Nie turbujcie się jeno, ja już w tém poradzę."

Poczém zakreślił rożnem na środku izby wielkie koło, wszedł sam w nie i jął coś mruczeć pod nosem i machać rożnem na krzyż, jakby biesa wypędzał. Nagle stanął i zapytał się kowala: „A co gospodarzu, chce wam się jeść?" A jużci Mospanie, aż człowiekowi flaki piszczą; mrugałem ci ja na moją, aby was choć kawałkiem chleba w dom przyjęła, ale u nas bieda jak zakuta, ani kramki chleba.

Nic na to nie odrzekł królewicz, zaczął jeszcze silniéj wywijać rożnem i głośniéj pomrukiwać jakieś tajemnicze słowa. Nagle radość zajaśniała na jego twarzy i rzekł do kowala: „Gospodarzu, nie będziemy mieli obaj głodu, oto smażone klóski stoją na piecu." Kowal nie chciał temu wierzyć, poszedł jednak za naleganiem, wziął tygiel w rękę. „W Imię Ojca i Syna! a dyć to cud prawdziwy!" i postawił klóski na stole. Ochoczy nasz czarnoksiężnik usiadł za stołem, posadził gospodarza obok siebie i wnet spałaszowali tę pierwszą porcyą. Gosposi nagle źle się zrobiło, znać ją głowa zabolała, bo się nieboga położyła w łóżko, biedaczka! Królewicz tak jadł z dobrym apetytem, jak nigdy w życiu, kowal jeszcze z lepszym, i gdy ostatnią klóskę wpuścił do swego przepaścistego brzucha, nabierając lepszéj fantazyi i ufności do swego gościa, prosił go, żeby jeszcze raz zaklął biedę, dodając: to nam może jeszcze co skapnie. Nie dał się długo prosić królewicz, zaczął znowu raźno machać krzyżówką, wymawiał łacińskie słowa, których sobie kilka przypomniał i zawołał jeszcze bardziéj ucieszony: Gospodarzu, idźcie do komory, popatrzcie no między mlostkami! Kowal poszedł już nie wahając się wcale, patrzy i własnym oczom nie wierzy, dotyka się ręką, prawda, kapłon pieczony w tyglu jeszcze się kurzył. Oblizując się na ten smaczny kąsek, prosił też żonę z sobą do stołu, ale ta wymówiła się chorobą; nieboraczka miała trzęsionkę! Wzięli się więc obaj ochoczy biesiadnicy do żydków, rozpłatali kapłona i spałaszowali go z wilczym apetytem. Nareszcie przystąpił królewicz już sam do exorcyzmu, kazał gospodarzowi iść po placek pod poduszkę i po flaszkę wódki do szafy, a gdy usłużne kowalisko, kiwając mocno głową, przyniosło i tę zdobycz, sprzątnęli wszystko po mału.

Gdy z sobą trochę pogawędzili, rzekł królewicz: „Odpędziliśmy najbliższą biedę; ale wy człowieku macie w domu jeszcze inszą większą biedę, któréj się wam koniecznie z domu na zawsze pozbyć trzeba, bo inaczéj tobyście sobie nie dali rady. Przystawcie jeno do ognia spory garnek wody. „Uczynił kowal jak mu kazano; a gdy woda już wrzała, wziął królewicz kropidło i zaczął tym warem kropić po wszystkich kątach: pod łóżkiem, gdzie kowalka leżała, aż się biedaczka kurczyła i z cicha o litość błagała; potém wlazł na ławkę przy piecu, umaczał należycie kropidło w warze i zaczął nim chlustać nagiego zalotnika. Ten wytrzymał z początku tak gorącą łaźnią, przygryzł język i skięczył się w ostatnim kąciku; ale natarczywy królewicz lunął nań całym garnkiem. Nie mógł dłużéj wytrzymać, wyskoczył nagle z zapiecka jak oparzony, i pędził ku drzwiom, a potém do ogrodu w konopie. Otworzył gospodarz gębę szeroko, jak miech kowalski, a królewicz uśmiechając się rzekł: „A co widzieliście waszę biedę?" — A dyć widziałem, Jegomościnku, toć ona taka naguśka, jak pasternak, a jaka duża! miałem ja też za swe. „No, nie kłopoccie się; już ona więcéj nie wróci do was, tylko trzymajcie krócéj swoją, a nie zawierzajcie jéj za nadto; teraz bądźcie zdrowi, niech wam Bóg szczęści jak najlepiéj; nie zobaczymy się tak prędko, chyba na tamtym świecie."

Wkrótce królewicz wrócił do domu, a objawszy rządy po ojcu, sprawował je bardzo mądrze, był przystępny dla każdego, wyrozumiały, ludzki, i nie dziw, znał już bowiem, co to bieda!

Pielgrzymka młodego Polaka z Bonn do Szwajcaryi r. 1841.

(Dalszy ciąg.)

Rozdział III.

Strasburg. Fryburg. Czarny-Las.

Z wieczora opuściłem Baden-Baden, a nazajutrz obudziłem się już na ziemi francuzkiéj w obliczu Strasburga. Celnik graniczny za dwa franki nie żądał ani rzeczy naszych, ani nawet paszportów widzieć, tylko grzecznie się pokłoniwszy, szczęśliwéj życzył drogi; ta sama scena powtórzyła się przy bramie. Miasto nie wiele ma ciekawości; jedyna katedra, lecz ta sama zasługuje na większą uwagę, jest to cudo budownictwa gotyckiego (1). Gdyby wszelkie wypadki historyczne, wszelkie utwory poezyi, malarstwa, budownictwa, gdyby wszelka pamięć świetnych czasów średniego wieku nagle w zapomnieniu była pogrążoną, a samaby pozostała świątynia strasburgska, samaby była dostarczającém świadectwem poetyczności, genialności, świetności średniego wieku. Symetrya i harmonja całości, wykończenie i wyrobienie każdéj pojedynczéj części, rozmaitość genialna, bogate

(1) Zob. P. L. r. III. T. I. Nr. 8. 9. str. 57.



Pomnik Marszałka saskiego w kościele Ś. Tomasza w Strasburgu.

lecz zarazem piękne i nie przesadzone ozdoby nadają olbrzymiéj budowie pewną zgrabność, lekkość i powab, który zadumieniem i uszanowaniem i dla sztuki i dla mistrza nas przejmuje. Najpiękniejsza jest główna facyata; dwie wieże z ciosanego kamienia, à jour robione, wznoszą się do wysokości 440 stóp (jedna tylko ukończona); robota tak piękna i lekka, że ogrom traci zupełnie kolosalność. Troje drzwi prowadzą do świątyni; ozdoby nade drzwiami nader pilnie wypracowane, świadczą o niewyczerpanéj imaginacyi mistrza; arkady bowiem, szczyt drzwi tworzące, są ozdobione rzeźbami, wystawiającemi zdarzenia z historyi świętéj; tysiące małych figurek wyciętych z kamienia, a wszędzie rozmaitość i wyrazu i postawy i ubioru. Katedra wewnętrza z trzech składa się części; środkowa część spoczywa na wspaniałych kolumnach, tylko chór zarazem z ołtarzem nieprzyjemnie uderza oko, nieodpowiedni bowiem wcale budowie i duchowi całéj katedry, zbudowany w czasach późniejszych, niesmak budowy francuzkiéj na sobie nosi. Części pobocznie mają okna malowane przedziwnéj piękności; promyk słońca, co przez barwiste wpada okna, magiczne szerzy światło; cisza w całéj świątyni, wspaniała budowa, głęboko przemawiają do uczucia; oto cecha budownictwa, co do godno-



Tum w Fryburgu.

ści sztuki się wzniosło, i zarówno jak poezya, muzyka, malarstwo, nie samą myślą, lecz uczuciem się pojmuje. Strasburg ma jeszcze sławę z swych pomników rzeźbiarskich, posągów Klebera, Gutenberga i pomnika Marszałka saskiego. Klebera posąg ze spiżu w nowszych czasach został wzniesiony (2). Postawa poważna, twarz mężna, wyraz siły i waleczności, nieco dumy, powierzchowność ozdobna, godny nam obraz daje wielkiego wodza. Gutenberga posąg na pierwszy rzut oka bardziéj się podoba, aniżeli statua tegoż w Moguncyi, dzieło Thorwaldsena (3). Posąg tutejszy szczyci się także sławnym autorem David d' Auvers, lecz autor nie mógł się

(2) Posąg Klebera będzie w przyszłym Num. P. L.

(3) Zob. P. L. r. VII. T. I. Nr. 20. str. 157.

odstrychnąć w tym utworze od błędu szkół rzeźbiarskich francuzkich, to jest, obliczenia wszystkiego na effekt. Gutenberga postać wspaniała, twarz genialna, może nawet fantastyczna, płaszcz rycerski zdobi jego ramiona, przytém prassa złożona u nóg jego, dziwny kontrast tworzy do eleganckiéj postawy wynalazcy druku. Sztuka pozwala idealizować, lecz nie pozwala ubliżać prawdzie wewnętrznéj. Gutenberg Thorwaldsena jest mieszczanin średniego wieku: jego ubiór odpowiedni czasowi i stanowi, może za mało artystyczny, lecz twarz jest główną rzeczą; myśl ożywia spiż. Głębokie rozmyślanie, spokojność, zarazem pewna ponurość, powaga, znamionują twarz genialnego zaiste drukarza. Z placu Gutenberga udałem się do kościoła Ś. Tomasza, prawdziwa West-Minsterabtei londyńska, grób obok grobu, a w każdym spoczywają mężowie uczeni, prawnicy, historycy, poeci; tu także złożono zwłoki sławnego wodza, Marszałka saskiego (Marechal de Saxe), którego pomnikiem Pigalle głośne sobie zjednał imię. Pomnik wielki z marmuru wykuty, statuy wszystkie są *haut relief*, podług mego zdania na sławę swoją nie zasługuje, nawet dziełem artystycznem zwać się nie może. Dwa są punkta niezbędne każdego dzieła artystycznego, myśl i wykonanie myśli odpowiednie. Myśl piękna. Przed otwartą trumną stoi śmierć, grobową okryta szatą, w skościałéj ręce trzymając zegar życia, który już bieg swój kończy; drugą ręką wskazuje na trumnę; z spokojnością umysłu zbliża się wódz ku śmierci, lecz przed nim pada dziewica Francya, z twarzą rozpaczającą, śmierci go chcąc wyrwać, wskazuje na sztandary nieprzyjacielskie jeszcze nie zupełnie pokonane. Z boku stoi Herkules, żałując bliskiego zgonu wielkiego wodza. Snycerz i w grupowaniu zbłądził, cała bowiem scena rozerwana, zbywa jéj na życiu, na jedności, i w wykonaniu pojedynczych osób. Marszałek ma za mało powagi, ubiór jenerała nowszych czasów niestósowny; jeżeli snycerz idealizował inne osoby, jeżli półbożka greckiego umieścił, nie byłby wcale godności Marszałka ubliżył, gdyby mu był dał ubiór starożytny. Z Herkulesem nie zgadza się także wystawienie śmierci, Grecy bowiem i Rzymianie śmierć w kształcie pięknego wystawiali młodzieńca. Strasburg ma prócz tego jeszcze niektóre piękne budynki, teatr, gisernia, la mairie i t. d., lecz parowy wóz nie czeka, omnibusy spiesznie ku dziedzińcowi zmierzają; dano znak, szereg powozów ruszył, i w krótce wieża katedralna zniknęła. Wzdłuż całą Alzacyę przejechałem; piękny kraj. Wogezy tworzą granicę ku Francyi, Ren ku Niemcom. Grzbiet Wogezów dość wysoki, zamków bez liku, winnice, wioski, miasteczka, fabryki, zamożność ogólna, lecz naród jeszcze nie zfrancuział; wszędzie lud po wsiach i po miastach obok francuzkiego patois używa djalektu niemieckiego, i do dziś dnia zachował to, co ich pierwiastkowy jego ród znamionuje, pozostała powolność w ruchu germańska. Już słońce za górami się spuszczało, kiedyśmy stanęli w Kolmarze, że zaś nic miasto nie ma ciekawego, zaraz w dalszą puściliśmy się drogę. Odtąd wiernie służyły mi nogi, dokąd ani konie, ani muły nawet dojść nie mogą, zaprowadziły mnie, a rzadko swéj pomocy mi odmówiły. Nazajutrz ujrzeliśmy znów znaną nam rzekę Ren, nie tak piękne jego brzegi, jak winorodne okolice niższego Renu, lecz dziko i bystro swe nurty toczy; a kiedy lekkie czołenko nas niesie z francuzkiéj na niemiecką ziemię, z starego Bryssaku święte brzmią dzwony, wołając lud na nabożeństwo niedzielne. Tu jest piękna Bryssaku (Breisgau) dolina, graniczy ją Czarny las, co tysiączne szle wzgórza w krainę, a pracowity człowiek zamienił je w urodzajne winnice; doliny i pagórki ciągle się odmieniają, aż pod górą w dolinie ukazała się wspaniała fryburgska katedra. Fryburg leży u stopy Czarnego lasu, który tutaj zaiste na tę zasługuje nazwę, bo świerki tak są ciemne, że czarna się zdaje iglic zieloność. Główną Fryburga ozdobą jest katedra i wszechnica. Rotteck, historyk, co prawdę bez ogródki śmiał mówić i pisać, tam uczył, a dziś słońce filozofii tam świeci w naszym rodaku, Trentowskim. Katedra znacznie mniejsza od strasburgskiéj, z jedną wieżą, lecz budowa równie piękna, zwłaszcza wieża tak zgrabna, że jéj niektórzy pierwszeństwo przyznają. Brama główna bogato ozdobna robotą rzeźbiarską, na tle barwistém wszystkie reliefy są złocone, co wspaniały sprawia widok. Kościół wewnątrz bogaty w piękne rzeźby, filary wysmukłe niosą wysokie sklepienie, gdzie tysiączne się krzyżują arkady; a chór zupełnie nieuszkodzony zawiera pierwiastkowy ołtarz przedziwnéj roboty. Ołtarz w stylu gotyckim, z kamienia wykuty i złocony, tak subtelnéj roboty, że go z koronką równają brabancką. Okna malowane w pobocznich kościoła częściach, nie ustępują co do piękności ani malowidłom katedry kolońskiéj, ani Ś. Guduła w Bruxelii; świeżość i żywość kolorów, które już 500 lat przetrwały, w zadumienie każdego wprawia. Uniwersytet, pod ten czas był zamknięty, wakacye, świat uczony się rozpierzchnął, a więc kosztur w rękę i w dalszą udaję się pielgrzymkę. Droga wiedzie w głąb Czarnego lasu, okolica piękna, wioski liczne, ogrody owocowe, lecz grona już nie rosną, ludzie mówią, że to dla zimna. Tu bory, stare dęby i sosny, jak w szczuczyńskich kniejach; tu téż ujrzysz znów piece wielkie gliniane, bo gdzie drzewa dużo, tam sobie nie żałują. Lud zamieszkujący góry, skromny, a chociaż zarobku chciwy, nie zdziera z podróżnego, uprzejmy, uczynny, często dowcipny. Co staje jest gościniec, dla podróżnego (pieszo) prawdziwy port. Zatrzymaliśmy się w gospodzie, a

nasz gospodarz, chłop wesoły, wiele nam opowiadając, rzekł: „czy wiecie Panowie, że za pół godziny możecie być w niebie, a za godzinę może i w piekle?“ Mocno nas zdziwiło takie proroctwo, na co chłop daléj mówił: „lecz nie miéjcie Panowie obawy, okolica, przez którą dziś pójdziecie, zowie się niebo i piekło (Himmelreich i Hölle). W niebie pięknie, a jednakże, (dodał dowcipnie,) nieznam nikogo, któregoby ciekawość nie była wzięła i piekło zobaczyć.“ Po chwili odpoczynku ruszyliśmy do nieba. Dolina miła, wesoła, wiosenna, łąki świeże, bydło wypasłe, kozy rozpustne, strumyczek cichy, kapliczka na wzgórzu, drzewa świeżą okryte zielenią, ciemnéj świerki nie ujrzysz; lecz nagle dolina się ścieśnia, droga tłoczy się między skały, czarny świerk wieńczy nagi głaz, strumień w dolinie szeleści, wszystko znamionuje wejście do Hadesu. Wkrótce znów dzika przyroda łagodną przybiera postać, a podróżny przeszedłszy niebo i piekło, znajdzie na ziemi w gospodzie pod niedźwiedziem i smaczną wieczerzę i wygodny nocleg. Tak odmiennie raz dzikie, raz łagodne widoki bawią oko, aż z wzgórza pierwszy raz nam wskazano grzbiet Alpów; nie odróżniłbyś, czy obłok widzisz, czy dziki zarys gór alpejskich, a z wieczora, kiedy słońce ostatnie szle ludziom promienie, przechodzimy przez Wuddach (rzeczka graniczna) do wolnéj pasterzów krainy.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Rzecz o dylettantyzmie literackim, czytana na posiedzeniu literackiém w Gostyniu d. 7. Maja 1842.

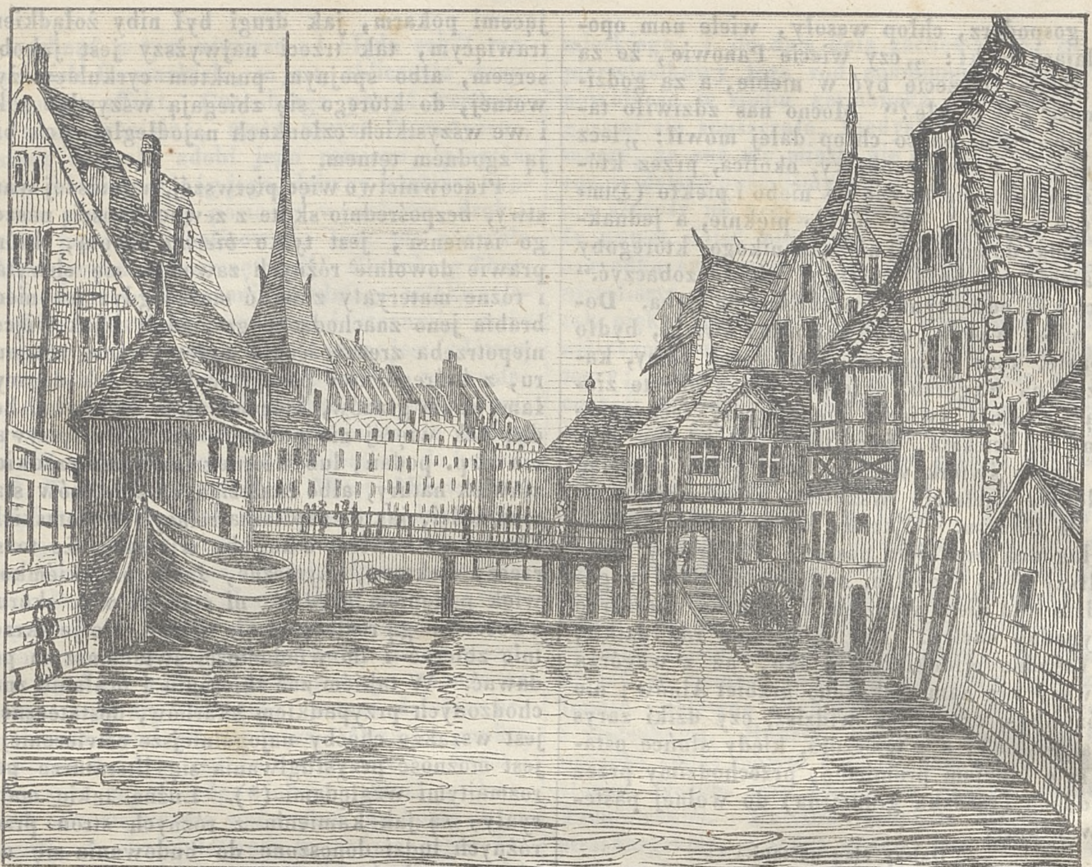
(Dalszy ciąg.)

Na drugiéj dopiero warstwie stoją pracownicy odbierający od tamtych surowy materyał, który całkiem opanować, siłą rozumu zemleć, na miazgę wycisnąć muszą do zdrowego spożycia. Jestto już sfera na poły *bierna* i *czynna*, teoretyczna i praktyczna, realna, empiryczna, stojąca na wielkiéj doświadczenia opoce. Takiemi są nauki przyrodzone, prawo, pedagogika, historya; sfera łącząca sobie zewnętrzność i wewnętrzność istnienia, lecz jeszcze względna i wedle staréj przypowieści: chociaż sobie gniazdo w niebie ściele, nogi ma przecież w popiele.

Trzecia dopiero sfera nad względność i wszelką przypadkowość się wznosi, i z rozległego pola empiryi zbiega się do spojnego punktu, do bezwzględności, do czystego wnętrza naszego istnienia, do ideału sztuk, religii i filozofii, i jest jakoby kapitałem ducha, który stemplem swoim piętnuje i oznacza wszelką wartość, i staje się dopiero rzeczywistém bogactwem, wyciągnioném ze wszystkości i na wszystkość się rozdzielającém. Jak pierwszy więc organ intellektualnego życia był niby ustami pochwytającemi pokarm, jak drugi był niby żołądkiem trawiącym, tak trzeci najwyższy jest jakoby sercem, albo spojnym punktem cyrkulacyi żywotnéj, do którego się zbiegają wszystkie soki i we wszystkich członkach najodleglejszych biją zgodném tętnem.

Pracownictwo więc pierwszéj, najniższéj warstwy, bezpośrednio skute z zewnętrznością naszego istnienia, jest tylko *bierną* robotą, która prawie dowolnie różnych zawodów się chwytać i różne materyały zbierać może, gdyż ich nieobrabia jeno znachodzone gromadzi; i jak więcéj niepotrzeba zręczności do wyłamywania marmuru, z którego ktoś posągi wykuje, jak do wyłamywania głazów, którymi ulice wykładać będą; tak więcéj nie potrzeba nauki do spisywania n. p. podań, lub wiernego opisania rzadkich zjawisk natury, albo znalezionych zabytków starożytności, jak do zapisania relacyi ekonomskich. Chodzi tu bowiem o to, by wiedzieć, że to są rzeczy ciekawe, użyteczne, że n. p. jakiémkolwiek podaniem gardzić, ni starych n. p. skorup z kośćmi nogą roztrząsać nie należy, ale je skrzętnie zbierać i do wiadomości świadomszym podawać. W takiém zaś zbieraniu i ocalaniu znachodzonych przypadkiem skarbów, dostatecznem jest wszakże choćby najogólniejsze oświecenie, i jest możność przysługiwania się literaturze pod rozmaitymi względami (*). Luźne takie materyały, są jak kamienie z różnych stron przez różnych ludzi donoszone do budowania się nauk, których budownicy zewsząd ich sami zebrać nie mogą. Jedném słowem, nauki empiryczne potrzebują *czeladzi* i *mistrzów*, i każda z nich wspólną tylko rozlicznych pracowników robotą wznieść się potrafi, a nigdy nie jest wyłącznem dziełem jednego. W sztukach zaś już n. p. pięknych, skarby piękności wszędzie i zawsze otaczają ducha i stoją na zawołaniu jego, a potrzeba tylko gieniuszu samodzielnego, coby je dojrzeć, wyrobić w fantazyi i wykonać tak umiał, izby pod jego czarodziejską ręką wszelki materyał stał mu się powolnym. I niema tu już czeladzi i mistrzów, bo każdy musi być *wyzwolonym* i na swoją rękę wyrobić skończone w sobie dzieło organiczne, stworzyć zaokrąglony w sobie świat, i nikt jego zamkniętego koła zrywać nie może, jeno nowe znowu koło tworzyć, jedno ogniwo więcéj do łańcucha postępu. Natomiast w naukach, każdy w cząstce przez siebie dorzuconéj niepotrzebuje odbić całego sta-

(*) Wypada zrobić tu uwagę, iż lubo podobne prace *bierne* wymagają wprawdzie różnostronnéj także wiadomości i przez profanów niedostatecznie czasem wykonywanemi być mogą, wszelako wzgląd na częstą dla uczonych niedostępność do wszystkich źródeł miejscowych i niemożność korzystania z przygodnie nastręczających się sposobności, uzasadnia dostatecznie powyżéj wyrzeczoną potrzebę jakiegokolwiek chwytania znikłych śladów i zjawisk, albo przynajmniéj zwracania na nie uwagi świadomszych, którym się może niezdarzyć okoliczność zauważania takowych.



Widok miasta Strasburga.

nowiska i rozwinięcia nauki; żądać niepotrzeba, ażeby ten, co się dorywczo przysłużyć pragnie naukom, poświęcił im całe życie i zgłębił je do dna. Owszem w dziejach literatury mnogie napotykamy przykłady wielu szacownych odkryć i postrzeżeń, któremi nieuczeni naukom się przysłużyli. Gdziekolwiek więc skłonność wiedzie, przypadek lub okoliczność szczęśliwa porę nadarzy, niech każdy zbiera, gromadzi swoje postrzeżenia, choć urywkowe i nieobrobione. Niema nikogo, ktoby się naukom przysłużyć nie zdołał; kobiety, nawet dzieci, oboje bystrzejszemi zmysłami obdarzone, albo raczéj mniéj zagłębione w sobie a więcéj na wszystko, co ich otacza zwrócone, zdolne są do najszczęśliwszych częstokroć odkryć i postrzeżeń.

Lecz dziwni jesteśmy w naszych dążeniach do prawdy i odznaczania się; szukamy niby ciągle rzeczy, którą w ręku trzymamy, patrzymy gdzieś daleko a nie około siebie. Nawet pomiędzy piszącymi iluż to jest takich, co ze skromnym talentem, albo szczupłym zasobem potrzebnéj nauki, targają się na niewczesne obrabianie nazbyt wysokich dla siebie przedmiotów, albo powtarzają jedno i jedno, co już drudzy lepiéj powiedzieli; a gdyby zwrócili uwagę na to, co ich otacza, otworzyłoby im się pole świeże, nietknięte, sowitym wywdzięczające się plonem, na ubitéj drodze, po któréj wielu już przeszło i wielu przechodzi, rzadko kto tak szczęśliwy, ażeby jeszcze co dla siebie znalazł, kiedy natomiast na ustronnych ścieżkach, ileż to kwiatów niezerwanych kwitnie, ileż słodkich jagód w pozioméj trawie się kryje. Zwróćmy się więc ku tym samotnym ustroniom, albo raczéj obejrzmy się tylko w około siebie z naszego zacisza, jaki nas bogaty świat wszędzie otacza. Dziwów i zjawisk natury niezasłaniają przed nami ciasne ulice miejskie i wysokie dachy; żyjemy zbliżeni do ludu, który w sobie tyle jeszcze nieodkrytych skarbów rodzimych chowa; żyjemy w ustroniach nieschodzonych, które w sobie tyle mogił i pamiątek tają; a świat ten cały jakże szeroki, jak często przez nas zwiedzany!

(Dokończenie nastąpi.)

Nakładem i drukiem Ernesta Günthera w Lesznie. (Redaktor: J. Łukaszewicz.)